

JACEK GUZ GENY



LUBELSKA OFICyna WYDAWNICZA

GENY

Ilustracja na okładce i w tekście
Jacek Guz

Tomik wydany przy pomocy finansowej
Wydziału Kultury, Sportu i Turystyki
Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie

© Copyright by Jacek Guz, 1995

ISBN 83-86901-00-4

LUBELSKA OFICYNA WYDAWNICZA • LUBLIN 1995

Skład: Lubelska Oficyna Wydawnicza,

Lublin, ul. Złota 2, tel. 230-32.

Druk: Pektor, Lublin, ul. Przesmyk 7.

JACEK GUZ GENY

LUBELSKA OFICyna WYDAWNICZA

*Byłem głodny i najedzony niechciany i kochany
wyrzucany i witany
tęskniłem miałem i jeszcze bardziej tęskniłem
Liczyłem gwiazdy piłem ciężko pracowałem
i nie robiłem nic
Próbowałem być dobry kiedy byłem zły
i bywałem zły kiedy mogłem być dobry
Traciłem zmysły i odzyskiwałem je
Czasem czułem się nędzarzem czasem księciem
To wszystko prawda
i nie do końca
i jeszcze więcej
Powstawały wiersze
jak geny nie wiadomo skąd
krążyły doskwierały krwi
Były we mnie? W kosmosie? W rdzeniu praprzyczyny?
Może niektóre z nich otrzymają posady
w Waszych sercach i umysłach...*

Plakali, mówili coś
o samotności
nie pamiętam... Kiedy
wymowałem nóż, dotknął
ostrza. Skrwawiona ręka
nie była moja; miałem
wspólnika.

Rozmowy z Euzebiuszem (fragmenty)

Mistykom tej epoki

I
Poznałem cię gdy tylko zdążyłeś
opuścić mój pokój
Myślisz że to było teraz
czy może w dzieciństwie
Zaraz potem pomyślałem o naszej historii
– nie sprzedamy się za cenę naszej historii

Musiałeś o tym wiedzieć
jeszcze wcześniej niż ja mogłem
zacząć dochodzenie w tej dziwnej sprawie

II
Miałem plany co do ciebie
nie możesz się tego wyrzec
W samym środku wyschniętej rzeki
obumarłeś
lecz teraz bogowie dają ci moc
Kiedy wykorzystasz te środki
powinieneś odejść

III

Czy wyjdiesz jeszcze poza barwę płomienia?
Bez tych wspomnień
których zapomniała ci dać matka
Z tą duszą sprężystą na drogi
i tym życiem – nagłym pochlebstwem czasu

IV

Z krańców rozmów z pól wapiennych
jakby mgły z czaszki przymierza
Już wiedziałeś: odwrotną drogą
stroną kiści smaku
nadchodzą
rosną w prawdę umierając
Za twój lęk przepaść i jeszcze radość
powieki na krzyżu rozwartej

Euzebiuszu

ćma jak nie ćma
omotana w komnacie
tak starannie długo
jakbyś wieki całe drążył jądro
początku i końca
twojej wyuzdanej samotności
Jestem tu teraz
Patrzę na butwiejące rysy ścian
a w oczach snuje się błado
piers tej kurwy z naprzeciwka
Musiała dobrze znać
euzebiuszowe maniery oszustwa
Euzebiuszu
ćma jak nie ćma
– jeden taniec wokół szyi

V

Pokusić się o zmierzch
aby miejsca zabrakło rozważnym
W tym świetle wyglądasz o wiele inaczej
To palenie papierosa o samotnej godzinie

VI

Nieunikniona granica wypływają cienie
 Niektórzy muszą zgrzeszyć
 lub odnowić grzech
 Stoisz między nimi z różowym prześcieradłem
 Wola jest niepowstrzymana
 Ten sam czas jest twoją pętlą Euzebiuszu
 Powinieneś się śmiać
 lub ograniczyć się do oddechu

VII

Tak jak ty nikt nie kochał kobiet
 Masz ciągle ich pośladki na policzkach

VIII

Rozdygotane salwy wymiotów
 Niepiśmienne konwulsje orgiastycznej wściekłości
 ściekające spod ud prostytutki resztki życia
 rozlały poematy na smukłych sukniach dziewic
 Zapala się zieleń
 Barbarzyńcy odbierają pierwsze należności
 Cofniesz się tylko raz
 Matka wyda cię krwi
 której poświęcisz formy życia
 Będziesz się skradał nagim księżycem
 oczami ropuchy
 Będziesz się spełniał wraz z urzeczywistnieniem krwi
 Jutro nie poznasz spopielonych ciał
 Nie usłyszysz co spowiły
 szmery romantyków w dusznych i zadymionych salach
 Gołąb bez skrzydeł skołuje powietrze
 i opuści dziób pod zmęczoną powiekę
 Przetańczysz noc ze śliskimi udami o miłość
 Będziesz pisał poematy
 na smukłych sukniach dziewic
 Ale będziesz zbierał popiół Euzebiuszu
 delikatnie i powoli
 Z namaszczeniem rozewrzesz bruzdy ziemi
 Wyłonią się głowy otworzą usta
 Resztki krwi popłyną

by nasycić spróchniałą jabłoń
Staniesz przy niej – mały chłopiec
Nikt nie będzie wiedział
pamięć nie zna prawdy
Wgryziesz się w korę
wtoczysz drzewu krew
– Serce jeszcze biło Euzebiusza
kiedy przyproszył je piach

jesień 86 r.

Wyznanie

Całe dni upływają dziwne
w oparach skłębione widma
rozkosz i ból na jednym koniu
z podkowy iskrami we włosy
głowy wydętej poematem prastarym
stu poematami jakie drzemią wokoło
odkąd czterej jeźdźcy przybyli
odkąd horyzont dwa ciała rozdzielił
i zostało jak jest – w oddali
wciąż dalej czym bardziej się zbliżasz
przez doliny pałace dwory
z pomocą królów i błaznów
przez zgiełk wielkiego miasta
ze skrzypiącymi ulicami
z komedią i dramatem na twarzy
przez sen i jawę przebywam te dni
przez zamieranie i odradzanie
Dziwne dni upływają
nie wiem co z nich pozostaje
wszystko oszalałe przetacza i toczy
wszechświaty i ludzi
Od wieków co zyskamy wreszcie
– umęczeni i konający – w garści kruszeje
powraca do Natury
a my nie wiemy nawet czy na pewno

Całe dni upływają dziwne
a ja siedzę nad kartką całymi dniami
w końcu na papier dwa wersy kładę

Nade mną mój tłusty anioł stróż
popija niebiańskie nektary śmieje się drwiąco
więcej nie dostaniesz – powiada –
w ciele musisz się zmieścić i z niego wydostać

lutu 88 r.

Subtelny spacer

wieczorem
nie wszyscy śpią
kilka lampionów okien
patrzy w dwa oblicza świata
parę zdarzeń nieważnych

wolno mi się idzie
mijam wysłużone gmachy
odmawiam im uroku
odmawiam wódki przechodzień podaje mi
rękę księżyc szklanekę
więc może wypiję lekarstwo na bezsenność

nazywa się Stanisław
mówię mu Stasiu
to chyba piąty Stacho w tym miesiącu
piąta szklanka piąty księżyc
piąta opowieść o śmietniku życia

wolno mi się idzie
dzisiaj pewnie nie dojdę
choć zawsze jest blisko
nasze spotkanie z językiem ciszy
a w milczeniu mijanym
wiele miejsca by pozostać
w skurczonym konturze
ciemnościom powierzyć co niestałe
nawet kroki i oddech za głośny
przed drzwiami zostawię
nietoperza z garścią włosów
i oczy zwęglone

luty 88 r.

* * *

z wierszy
najbliższy jest mi wiatr
pośpiesznie oblepiony sznurem włosów

i tak cicho
pieści
ustaje na czas oddechu

że między rękami wdowieje ciało
z tych bliskich najbliższe
ostrzu noża i sercu

czerwiec 87 r.

* * *

jestem w samej pełni
przepływu ziemi
jestem w zapachu i czułości
zmiernych liści
rozliczam przed księżycem
popelnione czyny
zadaję gwałt czasowi
i może dlatego je s t e m

październik 89 r.

Zapach nocy

przy zgiętym kręgosłupie księżycy
jaki ogień bezdomny
garnie się w garść nocy
jaka zatoka zmysłów
ubożeje pod powieką gwiazd
z jakiej trwogi ból snu
jaka plama światła
niedoczekana brzasku

przez zapach nocy podaję ci rękę

październik 88 r.

* * *

ptaku nie drżj
niewiele wiedzieliśmy o wolności
wybacz niewiele wiedzieliśmy o sobie

szkło potłuczone płat skóry
każda próba drzenia
niewiele wiemy
a przed nami tak wiele

nie drżj
nie przyznamy się do wolności
nie drżj
będziemy wyrywać ci pióra

marzec 88 r.

* * *

ręka martwa
nie potrafię cię opisać
zapisać cię ziemię na skroni sosny
w skrzydle jaskółki
ktoś najczulszy wiedział
ofiarowując ci ostatni oddech...

trwonić się
ale oddychać
głębiej
niż umieściłaś najstarszą mogiłę

maj 88 r.

* * *

Miałem zamiast ciebie
mieć Pokoje przestronne podwórza ulice
wargom usta kłamać
Pod migotliwym światłem latarni
panie zaczepiać spodniami Ale tobie
wiersze pisać nie spać do rana
bo w oczach twoje palce
rozliczają czekanie do świtu
by potem jechać Przestrzeniami między ziemią
a powietrzem
miejszem dla nas z kolca róży

Lecz nigdy nie lubiłem róż
no i wiersze jak łąki na wódce kiełkowały
pod skronią mając piekło i raj Tylko nie tę cieśninę
między ziemią a powietrzem
zapatrzoną w moją zdrową krew i mądry uśmiech
Ale czekać mogę
do samego rana
wcześniej się nie kładę

marzec 87 r.

* * *

noc jest płochą porą
poznana lękiem poprzedzającego dnia
tą samą kobietą porzuconą o świcie

lecz nie tobą – histerią i przypadkiem
może płucem nieba

ale nieważne przypadki odmierzanych cyfr
pluszowych godzin od słońca do słońca

powietrze zmieści gorycz
i przepuści między barwy:
tę co zdycha
tę co wstaje
i tę co znów się upija z księżycem w zębach

czerwiec 87 r.

Leniwe zmysły za oknem

Za moim oknem śmierć się zaczęła
Stawać widzialna Dotykałem ją nozdrzami
W oczach zawisł dziki błysk

Niebo już granatowe
Myślę głaszcząc grzywy pobliskich drzew
Ci którzy odeszli nie wiadomo czy wrócą
Ci którzy są odejda na pewno
Śmierć jest łaskawa
Patrzę jej w oczy
Czy znacie ten moment przed utratą świadomości
Więcej nic się nie stanie
Nic co można byłoby przewidzieć
I stać się dla niej bardziej pięknym

A śmierć jest
Za moim oknem
Zawołowana pod granatem nieba

Podobno raz tylko
Skrzą w żyłach miliony świec
Kosmos wchodzi pod skórę zmysłów

I liche jest współczucie
Istnienia przelewane zamiast krwi
Jest chwila
Przed nią było wszystko

maj 88 r.

Wyjść z siebie

we mnie dużo krwi
we mnie pijany statek
wyławia co żywotniejsze leukocyty
we mnie poci się
przepity gest dobroczynny
we mnie rozbiera się kobieta
we mnie miłość nawet do szczura
we mnie rozwiązuje się węzeł gordyjski
zawiązują się spiski
we mnie barczyści robotnicy
rozmawiają o kurwach
we mnie lekarze biorą łapówki
we mnie skazaniec Dostojewski
siwieje przed plutonem
we mnie płaczą niechciane dzieci
we mnie nie kończące się przedstawienie
i jak tu nie wyjść z siebie

styczeń 91 r.

* * *

Igusi

po każdym skrzypnięciu kołyski
zgrzyt krtani obłok serca
zbląkane ulice ran
goją się w aleję kipiącą od słońca
gdy uśmiechem na skrzydle motyla
odbarwiasz tęczę

Przyszedłem zbyt wcześnie

Łuna mnie zwabiła
wszedłem
lecz to tylko dym rozchylił ramiona
Wszedłem nieświadomy chwili
ogień dopalał puste krzesło
i forma popiołu dopiero nazajutrz
miała czekać na mnie

Przyszedłem zbyt wcześnie
i widziałem co nie powinienem
jak wiatr
rozpędziwszy dym pod kopułą nieba
ogień dogasił
forma była gotowa

Przyszedłem zbyt wcześnie
nikt nie czekał
wszyscy woleli się spóźnić

kwiecień 88 r.

Skrzydło nad przełęczą

czasem potrafię się wznieść
ponad małość i wielkość ponad modlitwę o przetrwanie
z kolebki głosu jak głodne jastrzębie
cicho rozniecają mnie nieme pochodnie śpiewu
czynią się widzialnymi usta mroźnego wiatru Północy

oczekując lasu skrzącego spóźnioną wiosną
czekając na puls ziemi gotowej do rodzenia
patrzę w nieznane
i wiem więcej niż kiedykolwiek

nie rozwiało się jeszcze we mnie poczucie
bezgranicznego zachwytu
nad gestem słowem
i liryką wydarzeń
wzniesie się ten
kto ujrzy skrzydło
kołujące nad przełęczą...

wrzesień 90 r.

* * *

wytańcz winność latorośli
która oddechem nie zrani powietrza
zwilż pustynię swoim potem
by rankiem nie stał się łąą pożegnania

moje oczy jak korzenie myśli
giętkie w mroku ziemi
 upatrują
jest łodyga dziwnej trwogi
jest wolność
skrząca przede mną winność latorośli
są we mnie łyzy
rzeźbiące o świcie pustynię

kwiecień 89 r.

Moje dzieciństwo

moje dzieciństwo umorusane
bose i szczęśliwe
chwyciło zamiast liter ptaki
by móc zwrócić im wolność
wypełniało mrok suterren
pulsujące trawy wokół komórki
unosily myśli nad linię horyzontu
długo nie mogłem zasnąć
gdy jeden z ptaków roztrzaskał się o szybę

moje dzieciństwo ku światłu
wznosiło skrzydła motyla
wysuszone oberwane odlatywały w nieznane
powierzało kwiatom wieczorną modlitwę rosy
a w pobliskiej rzeczce
sąsiadka topiła małe koty
których nikt nie chciał

maj 89 r.

Katharsis

Zaglądałem do miejsc
w których czas gęsty smutek
kładł wstęgę zmarszczek
Na brudnych ścianach obrazy Najświętszej
które tu zawsze
Czysta jest wiara splamiona życiem
Dłonie podobne łupinom orzecha
podały wódkę i chleb

- Siadaj, tu wilgoć przedmieścia
powolnym grzybem roztacza kruszynę wolności,
wiara to krzyż ściśnięty, w dłoni żelazny pręt,
najprostsza jest śmierć,
zgraj z błyskiem noża swe myśli.

Zaglądałem do miejsc
w których Bóg pozostawił sumienie
ciężkie i lepkie
jak pot po przepiciu

gęstniejący marzec 90 r.

Znękani powietrzem

dotykamy się nieuważnie
inaczej niż słońce trzepocząc skrzydłami
o szybę zapomina się w sobie
my w przeciągu znaczeń
przyglądamy się tym którzy byli blisko
i chcieli się w nas zapomnieć lub odzyskać
rozmawiamy o nas
i w każdej sekundzie olśnienie jak flesz
upamiętnia porażkę zachwytu
czuję jak grzbiet dnia nieogoloną codziennością
wyciska tatuaże myślom
jak się kurczy pogarda nienawiść miłość
znękani powietrzem trwamy w bezrozumnej
postaci ryby która nie potrafi przejrzeć się w swej łusce
znękani wodą
której codzienne pragnienie zamiany w wino
stało się nieuleczalną potrzebą
może dlatego tak trudno obronić się przed sobą
przed tym naszym byciem
wyczyszczonym na błysk
szczotką konieczności

październik 90 r.

Zjawiska

ile oko ile ucho ile język
ile wzrok słuch ile smak może znieść
ile w tym wszystkim razem
w między w poprzez w ponad
ile razy ostatni wiersz ostatni kres
ostatnia moneta uderzająca w twarde chleb

ile razy błogosławiona cisza
ile razy krzyk aż wytrzymanie trzeszczy
ile razy woda w nabrzeżach serca
ile uczuć wierniejszych niż pies
ile w tym wszystkim
w między w poprzez w ponad

a ile uchodzi boczną żyłą
tego co zbyt szybko krew życia traci
zanim odkryliśmy
że naprawdę istniało

marzec 90 r.

Motto

Trzeba się liczyć
że ręka przysporzy kłopotu
Zadrga jak struna i pięknie
w nieznaną dźwięk słowa

Że mózg się potoczy
w niewiadomym kierunku
I zaciągnie powłokę ciała
w krainę bezdotyku

Trzeba się bać tej chwili
i wierzyć ogłupiale
iż będzie następować

90-91 r.

Zapomniana strofa

żyjąc na uboczu
w zapomnianej strofie zdarzeń
skredytowany przez Boga
mogę spokojnie przyjrzeć się sprawom
od których przestał zależeć mój los

a chodzi o to
schylać się wciąż bardziej ku ziemi
i wydobywając się z garbatej postaci
zapominać o pokorze
w którą wierzą syci i ulegli
to grzech pozostawiać tajemnice tajemnicom

potem uśmiecham się żałośnie
Boże to tylko ja człowiek
władzę do garba
żeby poczuć ściętą krew
i spłacić prawdziwość wiersza

Co stracone

Sennie
świat zapomniał o świecie
chichoczą demony
Pora odbić od brzegu
zapomnieć przyzwyczajenia

Nie wiem cień czy człowiek
za mną się wlecze
Dłoń się zamyka w dłoni
czas przeciąć nabrzmiałe przestrzenie
Duszno
choć czka spóźniona burza
mży spocone niebo
Jak akt nieruchoma noc pora niczyja
którą każdy przywłaszcza dla swoich marzeń i złorzeczeń
rozchyła uda aleja
w niej błędząc po serca najostrzejszy zgrzyt
wiem już jak się wie ostateczność
czas zawsze szybki kiedyś się spóźnił
o życie o rok
o człowieka
Czas ten pomylenieć
napadł na mnie
a potem zostawił po drodze
Wpisany w niego
chcę nadrobić co stracone
uniewinnić jego obłąd i zbrodnię

czerwiec 91 r.

Nieruchome kaskady

kiedy twój czas doszedł
niewyraźnym pulsem
do serca
i niewyraźnym echem
pozostał w milczeniu kosmosu

kiedy spalone mosty
odległe jak urodziny a może i śmierć
nie niosą
pod sztandarem przedziurawionych dni

kiedy noc już bezbolesna i bezgłówna
ręki nie podaje
kulawemu psu
dniu

kiedy jeszcze można
wspiąć się na czubek palców
lecz nikt nie upada
by móc się podnieść

kiedy wzrok nie traci
jeszcze konturu
lecz już soczystość
barw

kiedy nie zwariowałeś tylko dlatego
że musiałeś
zwracać komuś
odbieraną twoim losem krew

kiedy można wciąż
odbyć sabat późnych ulic
ale słowa już się nie rymują
w życiowy wiersz

kiedy splot myśli
splotowi dłoni niepodobny
to dojrzałeś zbyt szybko
i postarzałeś zbyt wcześnie

wrzesień 91 r.

Pędy świętości

w nadpróchniałym drzewie
ubywające soki zawiązują świętą niepamięć
są naszymi przewodnikami oczami sumienia
i bezpowrotnej siły wzrastania

zamknęliśmy się w drzewie dla świętości
ale z łupinami własnych nie domkniętych oczu
twardych jak nasza niedoskonałość

o północy opuścimy to miejsce
lecz teraz z zapalkami w ręku
opukujemy chore drzewo
z kazirodczą miłością
przenikamy tkanki miłosierdzia

o północy zaszeleścimy nim
my boczne pędy świętości

Serce Europy

serce europy zmęczone i wątłe
cichnące smugi światła
i dzwony kościelne które nie koją ciszy

daleko stąd do wierszy
kartka kradnie pustkę słów
wiedzieliśmy tak wiele
jak się cieszyć kiedy walczyć
jak zapamiętać własną tożsamość

teraz tkwimy w obietnicy marzeń
jesteśmy sobie obojętni
ja i ciało ziemi zamknięte w dłoni wichru
spogląda w tę stronę gdzie wszystko już nieme
i beznamietne

spod napiętej brwi chmur
słońce opiekuje się nami blednącą zielenią

serce europy skąpym pulsem
bada pamięć

lipiec 89 r.

* * *

pewnego dnia
 wszystko staje się bezbolesne
 albo kurczy się boleśnie
 i nie mieści się w żadnym wymiarze

pewnego dnia
 wszystko staje się częścią natury
 z którą natura
 nie może sobie dać rady

Kandelabry, na których dogasa

utraconym przyjacielom

Karta legendy nie nasiąkła jeszcze krwią naszą.
Nie braliśmy udziału w wojnie,
my,
karabiny z barykadami ciał.
Na kształt korony cierniowej,
wciąż na granicy czerwieni – bezkrwawe walki umysłu.
Wino skronie przemierza.
Krople spadające w ciemność.

Wypiera się nas historia,
nas to znaczy rany przylegające do siebie,
przenikające się w bólu,
które obdarowują się skażoną codziennością.
Nie, nie płaczemy. Strupy odpadły.
Przylepimy je poetom – manekinom,
których pełno w miastach świata.
To wspaniała rola w ogromnym teatrze...

Nigdy nie pisałem o moim mieście,
wszystko było tak oczywiste.
Pociągała nieskończoność
a ulice kończyły się knajpami,
którym potem zmieniono nazwy.
Zmieniały się imiona, cena miłości, przyjaźni i wódki,
nie zmieniała powrotna ścieżka w samotność.

Morrison śpiewał Light My Fire,
Lennon – Imagine.

Tu dorastałem,
napisałem pierwszy wiersz,

kochałem pierwszy raz
dziewczynę o mglistym imieniu.
Teraz już mogę
palcami na szybach pociągów
wypisywać imię tego miasta,
zdławionego melancholią i tęsknotą,
ja,
melancholia i tęsknota tego miasta
wrzód na jego sumieniu.
Opadam raz po raz po ścianach klepsydry
w zwały piachu,
na dno czasu.

Teraz już mogę,
jestem daleko.
Wiatr zeskakuje z równin
w większą jeszcze równinę.
Grot rozszywa ciszę.
Wiedziałem,
gdzieś musi być ciepło,
gdzieś grzęźnie szloch,
śmierć nie jest powolna
i nawet myśl o niej
tak łagodną miękkość znajduje we mnie,
że nie potrzebuję modlitwy,
aby zostać tu na zawsze.

Wieczorem rozpryskują zorzą latarnie.
Miasto wcześniej zasypia,
ale dla nas od światła do światła
mnóstwo miejsca na rozmowy.
Każda latarnia cel ulotny,
każdy krok to metafora.
Kawiarnie zamknięte,
nie musimy już pić, przeklinać najgłośniej.
Pomówmy o ocaleniu uczuć,
odgadnijmy kobiety,
które zrobią nam rano śniadanie.

Możemy też Ravela
bolero na cztery nogi środkiem jezdni,
patrol nie zawsze tędy przejeżdża.

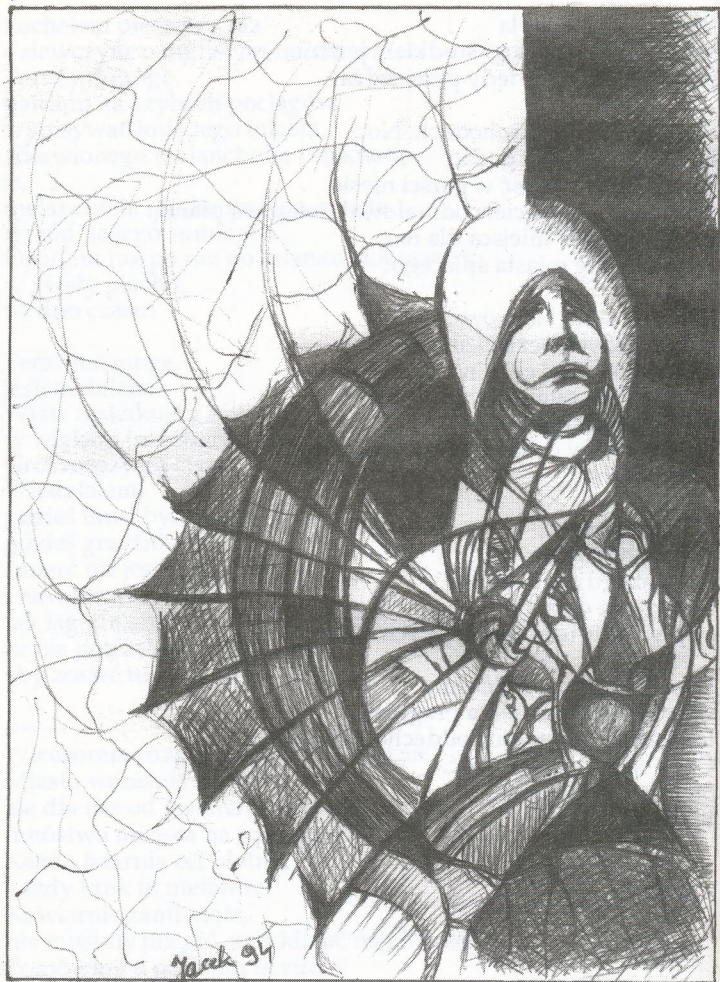
Pijemy wódkę na schodach. Noc.
Nie będziemy już gadać,
kto komu ciemność w garści niesie,
kto komu sny na ciele odmalował fioletową plamą.
Za oknem tyle miejsca dla nas,
dla nocy tyle miasta śpiącego.

Młodość stara się zrozumieć
kolor naszych oczu ciemnych.
Nie odpowie jej echo nocy,
ani my zbyt pijani ciszą,
jak niegdyś słowami.
Przyjmujemy czołem pocałunek nocy.
Na dobranoc.

Już nic nie czuć,
rany zabliznione.
Nie boli, gdy nie dotykać.
Rani czuły dotyk,
ciepły wiatr ust odgadujących słowa.

W bezbolesnym milczeniu
uczę się namaszczenia pragnień,
leczę ciało poparzone oddechami bliskich.
Oczy odkrywają nagość.
Strzeże mnie cień,
krąży za plecami.

maj 89 r.



"Księżka ciewplungca"

W obronie życia poczętego

zanim jej ciało
bólom oznajmi radość macierzyństwa
zanim krzykiem udowodnisz
światu swoje istnienie

--- gra toczy się w ciasnym kącie
pod dyktando taniego wina
jak liche przepowiednie
wykruszają się tynki
kręcą uliczki
inkasenci pazerni przyjaciele
zamieć czasów
która trwa tu wiecznie
prorocy kapłani wizjonerzy
kobiety coraz częściej
ledwie kształtem kobiece
wielu tu świętych
co niedzielę
napina się łuk godności ludzkiej
w modlitwie o mieszkanie

ta która cię spełni
wcale nie musi być rzeźbą łagodnej myśli
kierunkiem twojego wiatru
spróbuj się czegoś dowiedzieć
albo jeszcze z zaświatów
jako cząstka chaosu
zanim cokolwiek się dokona
szepnij jej w ucho:
niech ten pan uważa

czerwiec 92 r.

Chciałbym...

... żeby każdy kraj
miasto ulica dom
o architekturze spoufalenia
każdy stół krzesło
noga od krzesła
jej cień
każda piędź ziemi
na której uklęka myśl
każde drzewo liść
kłos na którym kropla słowa
każdy szmer bezwład bieg
każde poszukiwanie mijanie kres
... żeby gniew radość lęk
perłą w szczelnej muszli snu
każdy przyjaciel wróg
kobieta która tylko jest
nic więcej
...żeby stos ogień
popiół rozdmuchany wśród żywych
...żeby każdy chleb
jak błogosławieństwo
każda miękkość twardość
smak zapach dźwięk
każdy kościół zawsze jeden krzyż
... żeby wolność tylko do rozkwitnięcia róż

... żeby każde ja
każde gdzieś
ojczyznę

czerwiec 92 r

* * *

Nic się nie stało
to tylko wyschła we mnie krew
Jeszcze się waham
czy poddać się transfuzji uczuć
Na ile będę rzeczywisty
regulując gałką każdy ruch
na ile jestem teraz
wypalonym wzrokiem
spragnioną aortą
słońcem obleczonym dymiącą skórą

Nic się nie stało
to tylko fakty
mówią zamiast mnie

czerwiec 92 r.

Spopielony erotyk

przechodzę na kolejną emeryturę uczucia
wieczornego drgania głosu i ciała
zakneblowany lekkością przekleństw
tańczę dłonią po piersi
zapalam światło
a to tylko uwypuklenie
chorego serca
skowyt wypaczonyj anatomii

wypala się dzień
w zmęczony popiół wieczornego papierosa
opuchnięty słowami
pospołu z księżycem
ciszę modlitwą owijam
by pokój cieplej nam zabrzmiał
jak nokturn spalonej plaży
bo zaraz noc chluśnie ulewą
i ogrodnik wypielegnuje kwiat twego łona

w cienkiej linii twojego wzroku
gdy oczy gubią już blask monet
odnajduję magię własnych zakurzonych ust
ugniatam w peta ów zaoszczędzony pył
odpalam
kolejny dzień

maj 92 r.

Już tak późno

jest już tak późno
każdy zakręt
może być pułapką
oddech znaczy tyle
co nie upaść
czasem uzbrojony strażnik
jest aniołem stróżem

maj 92 r.

Ognie

słońce do końca
aż światło wyżarzy
i twą jasność spłoszy
zaskoczony nocy skrå
która cię toczy
jak próchno parapet okna

nad zapaloną zapalniczką
trzymasz palec
i nie możesz się nadziwić
że tak cierpi płomień

luty 93 r.

Kołowanie nad kukułczym gniazdem

pośród oczu czułych na dotyk barw
łabędzia szyja dymiącym kominem
gotyk pnący winorośl podziwu
sen bledszy od powłoki świtu

ktos słuchem nadchodzi
szepem wyznaje modlitwę
ostrożność puchu o próg zawadza
obawia się kroków

wystrzał niepamięci z kipiących rąk
głowa z szyi sępa wyrasta jak lęk
lot bez piór
kołowanie nad kukułczym gniazdem

styczeń 93 r.

Staw

Nad ruchliwą wodą stawu
gdzieś pod najskrytszą tkanką
wieczór iskry spokoju
od wewnątrz roztrąca.
Nie więcej ich niż gwiazd
zastygłych w popiele.

Polucje ciemności.
Wonne ptactwo zmawia się z chmurami.
Pęcznieją na jesionach
senne regimenty liści.
Zaklął wiatr bezbronny
przysiadł obok dumnej Wenus.

Jak skurcz wodospadu
uspokaja się tętno.
Piękno –
zupełnie zwykłe i mocne
– zawahało się nade mną.

czerwiec 92 r.

Mapa

na mojej mapie
białe plamy
właściwie już jedna
jak oko cyklonu
gdzieniegdzie mrugnie
wyblakłym zadraśnięciem
linie papilarne
przetarte szlakami
w doliny
o twarzach
trudnych do odczytania
wspomnienie wzgórz
ręka z pamięci
w powietrzu namacuje

lipiec 92 r.

Ballada orange

nieobliczalne słońce z tupetem baroku
spięło promieniem rozmazując fotografię południa
skąd tyle przepychu
w lepkiej substancji przedmiotów

gdy odchodzenie stało się rytuałem
i smak przeszedł wszystkie wcielenia tęczy
chwycą mnie zapomniane ścieżki
zaszyfrowane w dotyku

lipiec 92 r.

Zanim wiersz odleci

Odwrócony do nocy plecami
lecz gotów na ciemność
w ciepłym szalu pokoju
kroję mózg ćwiartuję
w zimnych dłoniach chłodzę
Z szuflady wydaję rekwizyty
niebo wiatr kobiety lustra
rzeki zegary ptaki
Zapalam świece i wprowadzam do gry cienie
Gdy o ciało dopomina się dreszcz
rzucam wszystko na papier
Słowa – symbole znaki
z każdym słowem bledsze
– wysłuchuję spod splecionych powiek
szmer odlotu

lipiec 92 r.

Do poety

nie łudź się
słowa niewdzięczne
zabola
kłęska prawdy
z siostrzaną miłością
opatrzy zmierzch wielu dni

każde słowo zmierzy się z krwią
przymili zalotnie
po czym obręcz zaciśnie na głowie

poezja nie wybacza
zmyślonych metafor
nie podzieli się tobą z nikim
ciebie podzieli
na drobnoustroje słów
kiedy zachorujesz
zaznasz odrobinę wolności

lipiec 92 r.

Interferencja

pęka iluzja oddzielnych oddechów
to już uwiera od czaszki po pięty
w pierś
rozpycha się we mnie łokciami
ktoś jak nie – ktoś
zbrudzona chmura powiew od ziemi
wróg i współnik
jakiś cudzysłów

dość chyłkowego paktowania
muszę się z nim rozmówić
nim spowieją
do reszty włosy

może uda się zachować
wspólny mianownik
temperaturę
w bezpłomiennych granicach

lipiec 92 r.

Van Gogh

No cóż, mistrzu szaleńcze,
czy jak cię tam zwać.
Zagony, pola,
chłopi o kartoflanych twarzach,
kwitnące ponad zdrowy rozsądek Arles
— w postronkach twoich palców
śmieiej się przedstawia,
niżbym to ujrzał
na błyszczących folderach.

Z forszą krucho,
więc czemu u licha
płótna aż ociekają farbami.
No tak, prawdą jesteś ukrwiony,
więc musi być
mocno, dobitnie i bez ogródek.

No a przyszłość
— czy kula to p r a w d a ?
Wystrzelałeś ich mnóstwo,
przecież niemal każdego dnia, każdej godziny
padały strzały pod uderzeniem pędzla.
A ta zbłąkana, co nie trafiła na grunt
— dała wytchnienie?

Nie mistrzu szaleńcze,
czy jak cię tam zwać,
nie przesadzajmy.
W końcu prawdzie też trzeba dać lukę
do odsapnięcia.

Dopijmy jad spoconych skroni,
pomału,
nie mówmy zbyt wiele.
Mam tu kilka spraw do skończenia,
których nie wolno przegadać.

czerwiec 92 r.

* * *

Stoczmy się sypkim piaskiem
lawiną deszczem i burzą
Kto nam wypomni łyzy radosne łyzy oszukane
– oddamy je suchej ziemi

Tryśniemy źródłem parującym zajadłym
nad bólu zwykłość nad udrękę
Kto nam wypomni ruchliwe ramiona
– złożymy kości w spragnionej ziemi

Zgaśniemy jak echo miłosnej przysięgi
wiecznym wygnaniem wtuleni
gdziekolwiek do ziemi

lipiec 92 r.

W stronę nadziei

To drganie tak śmiało wobec ruchu
jakby księżyc zasłabł
i dopiero w szklance pełnej domysłów
blaski odczyniały pokutę za mdlejący horyzont

— Droga jak song bębny stóp
naciąga do właściwych brzmień
I nieważne czy to pociąg drapacz chmur
czy pęd uzbierany przez lata w dziecinnej skarbonce

Ty to możesz — przejść przez kolejne retusze
z płamką wierności nie do wywabienia
— Za każdy zagięty cień
wbrew wszelkim prawom sunący w swoją stronę
stronę nadziei

sierpień 92 r.

Cel

tempo ocknięć przebudzeń i przywidzeń
ekstaza z zarostem kilkuletnim
lustro bardziej spierzchnięte niż przed rokiem
przeszłe odbicia roni
nie mogąc przejrzeć na przyszłość

tu i ówdzie wiatr napomyka
świtające szpary gdy dzień pielgrzymuje po szybie
przywracając wzrokowi wiarę
cieniowi odległą wędrówkę

a ja – cóż – rozpostarty jak tarcza
czas trafia godzinami
same dziesiątki

sierpień 92 r.

Smak róży

w żyłce w której się wychowałeś
gorąca krew przedwczesnym wytryskiem
zapłodniła czerwień róży
zaczynałeś więc od kwiatu
naukę zakłopotania pięknem

teraz kiedy żyła
wypruła się z hojności
bryzga skrzepami płatków
po komorach serca
nagłym uściskiem odliczasz kolce
ich kłopotliwą dostojność

lipiec 92 r.

Zwierzyniec

dzień następny i następujący po nim
jak muł trafiony węgorzem
otrzepują się ze wspomnień drzewa
najlepiej kasztany
a giętkie linie
wzajemnych urazów
kotem po płocie łążą
ktoś na porządek mrowiska
codzienności nadepnał
kogut grzebieniem oczyszcza
wewnętrzną stronę pejzażu
my jak dzień po dniu
odświeżamy się głodem i pragnieniem
i białe i czarne i białe i czarne
i w oczach czerwone
są barwy kameleona
w czasie odcisnięte

maj 93 r.

Zmyślenie

Im więcej widzę
im bardziej wyczuwam
twoje jednostajne ciepło
Tym bardziej zmyślam
ciebie siebie wszystko
W końcu dostrzegam
że rzeczywistość
zmyśla pod wójnię

lipiec 92 r.

Poddane w wątpliwość

niekiedy zapytuję
co pozostaje gdy takt
dni strupów odpadających
rytmicznie
ostudza puls
jaką ceną mierzony
chrzęst w płucach
ruchliwość rąk
ostatnie kursy
bez prawa powrotu

jaki zysk
z serc tłukących oszalałych
stających w pół drogi
gdy i tak –
słowa na pół
gesty na pół
na roztrwonienie...

lipiec 92 r.

Kult

Nie daję świadectwa epoki
– jestem jej odległym kątem
Nie utrwalam czasu
– mój krótki film zbyt często się naświetla
Próbuję czasem
dać siebie
Dlatego hołduję kultowi tyłka
który dzielnie mi służy

lipiec 92 r.

* * *

noc nie będzie ciemniejsza
dzień jaśniejszy
życie sprawiedliwie
obdzieliło barki
uczciwie
wgniata w ziemię
lekkość kroków

pazur księżycy
otumaniony mleczną drogą
zamiast krzyża
nad poległymi czynami
trzyma straż

i tylko czasem –
niepostrzeżenie
piach w kącie oka się mąci
zagubiona
rozmywa się wyrazistość rzeczy
kratki powiek
rozluźniają uścisk
– światło napastuje

czerwiec 92 r.

W przededniu

- nim dogoreją pejzaże
nim miłość dogryzie resztkę zmysłów
nim skończy się wódka
nim się wszystko sobą zachłyśnie
i rozbłyśnie
ten najpiękniejszy
piekący wiersz
- wszystko przed tobą
bądź niespokojną nadzieją

zegary jak zawsze
nadgorliwe piastunki
zbyt natarczywe w radości i smutku
lecz wybacż zegarom
dzięki nim jesteś
do samego końca
w przededniu

czerwiec 92 r.

Anatomia wzruszeń i astrologia ciała

ciała ruch
wiew duszy
na jedną płaszczyznę sprowadzić
niech się nie zagryzą
drwiącą sonatę wzajemną
zazębią niech
w miech galaktycznej przyjaźni
– przecież ten nieszczęśnik się krztusi

*

za dużo jest pamięci złej
na rzęsach przeszłych spojrzeń
nie dbających o kształt ust
lecz o słowa kalekie
nadto trudnego powietrza
i jeszcze trudniejszej nadziei

za dużo płowych ulic
znajomych obco twarzy
jeden jest ogień w ognisku miłości
sto patyków do rozgrzebania ogniska
jedno życie sokoła
sto piór umierających w locie

za dużo jest pamięci nieznośnej
i przewidywań boleśnie prawdziwych
z dna serca
oddaję ostatnie tchnienie niemego smutku
wiarę w niezbedność i konieczność
w mijanie nie do końca
w miłość głodną tylko miłości

w ofiarę której nie potrzeba nic
prócz czułości z samego faktu
iż została złożona

*

w bezdennej głębi trawiących trzewi
czy możliwe jest
by tam skarłała cząstka pragnień
walczyła o przetrwanie

*

senny grzechot zimowej burzy
ja za zaspą biurka
z wypisanym wkładem
obezwładniony tangiem Bachusa
na tapczanie bachantka rozumnieje
z różowego kołysania
zaraz odejdzie figurą zgaszonego wosku
rzeźbna w dwa syte biodra
ponura jest pora sięgania po słowa

*

stąpam tak cicho bezgłośnie
po rtęci zgiełku jądrze przeznaczenia
a jest nim krok
pierwszy i ostatni
początek i koniec zamknięty niewidzialnie
we własnym pojęciu spełnienia

*

ścięgną domu który mam na myśli
gałki okien przestwór sufitu
postne w niecierpliwość
serce jego w sam raz
pomieścić wycieńczoną krew
a tętna ścian zgodne
z moim nieskończonym powracaniem

*

w twoich włosach zakrzepłby mój oddech
ogrzał się nos
odsapnęła nerwowość ruchów
na sutku opierzchnęła warga
gdyby to drzenie w kręgosłupie
nie aż tak chciane
nie aż tak czekane
że aż zwykłość

*

uwikłani przyziemnym przymusem
nagleni otwartą potrzebą
gdy szyja słońca
w połatanym kołnierzu nieba
smukła jak samotność

*

niewiele młodszy od atomu miłości
czas we wszystkich swoich czasach
odmieniony
nie ufa pofałdowanym czołom
rośnie obok nas

*

w pierwszej kolejności
odnajduję palców niecierpliwego gestu
co będzie
co będzie gdy z rzesz roziskrzonych
wczesnych i naiwnych
ostatnia opadnie mglistość
i zaryczy echo w oczach
echo czarne i głębokie

*

w godzinę szczeroci z lustrem
w którego twardą wodę wkładasz twarz
i wyjmujesz garść piany

brudnej jak dzień mijający
a miało to być olśnienie
twarz anioła

*

szarość na niebie kłębna dziwaczeje
chmur starość trapi
nikt z nikim nie może się zbliżyć
jak nic lunie wyplakanie
wyjałowi otwartych ran korytarze
poranny makijaż stycznia
spłucze aż do kości

*

w pieszczelu szpik wiotczeje
lecz godzina znów się napina
do ostatniej sekundy
jakby chciała pozostać
nieokiełznanym pejzażem zegara
w mózgu żyłki splątane
a ona przez wszystkie razy wahadła
hejnały kukułki cykady
pozostała zastygła
na klęczkach wobec przemijania
sekundę ocalając
na wybór nie do pozazdrosczenia

*

księżyc chory na wątrobę
widzę jak się zwija
w błyszczącą cięciwę
zamżył gwiazdami w żalonym westchnieniu
i chyba tylko powinność
trzyma go na niebie

*

rosną drzewa szpalerem
szkielet lasu mech liści
ziemia zmasakrowana grząska
śni mi się wiosna
przepastna w świeże płuco bogata
co płynniej stopom czarnoziem poddaje
nadaje sens zmartwychwstaniu
czerstwą połąć skóry czyści i na gnaty naciąga
żyły odwapnia rozszerza
krwi radości przysparza
rozum szczepi przeciw szarzeniu tkanek
komórki myśli przeciw rozdwarzaniu
i oczy bez mrugnięcia powiek spoglądają
szczęka nie szczęka
język się nie przejęzycza
nogi się nie podpierają
dłonie spokojne obok siebie
nie szukają w sobie pocieszenia
serce z piersi się nie wyrывa
ociera pot z czoła
spracowane do życia przywiązanie

*

bliski obłądu
w gąszczu domysłów i wrażeń
raz za razem powtarzam
że to co jest
jest echem pogłosem szelestem
moje ciało kształt mowa i duch
opętane swoją jaźnią
przyznają się do mnie
jeśli im to wygodne
każde swoim zegarem odlicza czas

a więc ja z obłądnym wzrokiem
wrzącą śliną krwią rozgrzaną do białości
przygnieciony brzuchem nieba

zginam ręce kulę nogi
sprawdzam co jest moje
czy tej skóry świerzb
czoło ociosane włosów zakręcone życie
barki tors pachwiny
czy poddane mi są
brwi łokcie stawy
i jaki zarzut postawić mogę niebu
że tak ciało gniecie
jak bezkształtną masę
rani deszczem miesza z błotem
przypala słońcem nawiewa wiatru w bezbronne uszy
że tak urzeka
aż słowa grzęzną w praepoce krtani
i nerwu najmniejsze napięcie
musi wystarczyć
za najpotężniejszą alegorię

1994 r.

Spis treści

PRZEZ ZAPACH NOCY

Rozmowy z Euzebiuszem / 5

Wyznanie / 9

Subtelny spacer / 11

*** (z wierszy) / 12

*** (jestem w samej pełni) / 13

Zapach nocy / 14

*** (ptaku nie drzyj) / 15

*** (ręka martwa) / 16

*** (Miałem zamiast ciebie) / 17

*** (noc jest płochą porą) / 18

Leniwe zmysły za oknem / 19

Wyjść z siebie / 20

*** (po każdym skrzygnięciu) / 21

Przyszedłem zbyt wcześnie / 22

Skrzydło nad przełęczą / 23

*** (wytańcz winność
latorośli) / 24

Moje dzieciństwo / 25

Katharsis / 26

Znękani powietrzem / 27

Zjawiska / 28

Motto / 29

Zapomniana strofa / 30

Co stracone / 31

Nieruchome kaskady / 32

Pędy świętości / 34

Serce Europy / 35

*** (pewnego dnia) / 36

Kandelabry, na których
dogasa / 37

NIEKIEDY GDZIEINIEGDZIE

W obronie życia
poczętego / 41

Chciałbym... / 42

*** (Nic się nie stało) / 43

Spopieleny erotyk / 44

Już tak późno / 45

Ognie / 46

Kołowanie nad kukułczym
gniazdem / 47

Staw / 48

Mapa / 49

Ballada orange / 50

Zanim wiersz odleci / 51

Do poety / 52

Interferencja / 53

Van Gogh / 54

*** (Stoczymy się sypkim
piaskiem) / 56

W stronę nadziei / 57

Cel / 58

Smak róży / 59

Zwierzyniec / 60

Zmyślenie / 61

Podane w wątpliwość / 62

Kult / 63

*** (noc nie będzie
ciemniejsza) / 64

W przededniu / 65

Anatomia wzruszeń
i astrologia ciała / 66



JACEK GUZ urodził się w 1966 roku w Radzynie Podlaskim, ale od dzieciństwa wydeptuje lubelski bruk. Do szkół chodził, jednakże przejął się maksymą Anatola France'a, iż najlepszą szkołą jest nie chodzić do żadnej szkoły, więc niewiele wychodził. Jest za to wiecznym absolwentem szkoły wrażliwości.

Sztuka to – jego zdaniem – marzenie, doświadczenie, wyobraźnia, intuicja, wariacka pasja wypełniająca puste miejsce między ludźmi, którego nie jest w stanie zappełnić nic innego.

Od 1985 roku publikuje wiersze, rysunki, opowiadania (m.in. w almanachu „Wyraz II”, „Młodej Sztuce”, paryskiej „Kulturze”, „Autobiografii”, „Akcencie”).

Trzykrotnie wystawiał swoje obrazy i rysunki.

Pracował jako konwojent, sanitariusz, robotnik budowlany, akwizytor.

GENY są jego debiutem książkowym.